

P Ł O M Y K

TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI I MŁODZIEŻY



MARSZAŁEK JÓZEF PIŁSUDSKI
w oknie wagonu z psem.

Fot. Keystone.



DO MARSZAŁKA PIŁSUDSKIEGO.

KOMENDANCIE! *Wy*

12.1.1918
Mówili nam dzisiaj w szkole,
jak na dołę, na niedole
wiodłeś swoje żołnierzyki
przeciw wrogom w sławy pole.
Och! Jak strasznie wtedy było:
wokół huczały armaty,
grzechotały karabiny
i płonęły ludzkie chaty.
I po całej naszej ziemi
bieda, nędza, lęk się szerzył,

jeno Tyś nieustraszenie
w jasną Polski przyszłość wierzył *li*
Serca drżały w niepewności,
ciemno, smutno było wszędzie,
Tyś na czele żołnierzyków
krzyknął: — Polska wolną będzie!
Dziś więc, drogi Komendancie, *drodzy*
myśl ku Tobie wdzięczna leci,
bo się uczą kochać Polskę
w wolnym kraju polskie dzieci.

W. Malicka.

W DNIU IMIENIN PIERWSZEGO MARSZAŁKA POLSKI JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO.

Minęły chwile tej niewoli srogiej...
Wolność zabłyśta ponad Polską znów.
Wolność, o której mawiały nam wrogci,
że już należy do prześnionych snów.
Dziś kajdanami już Polska nie dzwoni.
Żyjemy w kraju, gdzie nie rządzi wróg!
Być Polakami nikt nam nie zabroni,
bo nas wolnymi przecież stworzył Bóg!
Dzisiaj więc, Wodzu w strzeleckim
mundúrze,

coś nas z niewoli wyprowadził dni,
my, dzieci polskie, w jednym zgodnym
chórze,
za Czyn ten wielki hołd składamy Ci!
W dniu wielkim dla nas, w dniu Twego
Imienia,
niesiemy Tobie zapowiedzi wić,
co jest wyrazem tego przyrzeczenia,
że dla Ojczyzny tylko chcemy żyć!

T. TYSZKA.

ŻYCZYMY CI WSZYSTKIE ZDROWIA...

Idą dzieci rzeszą,
idą, idą, śpieszą,
raźno sobie maszerują
i z czegoś się cieszą.
Idą góralczyki,
same dzielne smyki,
przygrywiają im skrzypeczki

góralskiej muzyki.
— Gdzie to wędrujecie?
Co to za zagadka?
— A toć się domyślisz przecie:
idziemy do Dziadka!
Mknie Kasja Mazurka,
sukienka jej furka,



Mal. J. Walach z Istebnej.



* przygrywiają im skrzypczki
góralskiej muzyki.

Jacek z Sandomierza
rażno za nią zmierza.
 Tuż Kurpianka gładka,
 śliczna na niej szatka.
 — Gdzie idziecie, wędrujecie?
 — Idziemy do Dziadka!
 Dalej Kujawiacy,
 chłopcy jacy - tacy,
 idą, idą drogą,
 śpieszą się, jak mogą.
 Wyrwał Dziadek oknem,
 śmieje się radośnie:
 — Niechże każde z was, dzieciaki,
 na pociechę rośnie!
 — Witajże nam, Dziadku.

przyjmij nas z ochotą,
 bo wieszować przyszły dzieci
 z całej Polski oto!
 Małe, średnie, duże,
 każde woła w chórze
 i każde niebożę
 winszuje, jak może.
 — Weźmy się za rączki!
 O, to będzie gratka!
 zatańczymy, zanucimy,
 w imieniny Dziadka.
 A wychodząc, jeszcze
 krzyknem naostatku:
 życzymy Ci wszystkie zdrowia,
 nasz kochany Dziadku!!!

ANNA ŚWIRSZCZYŃSKA.

PAN PIŁSUDSKI I DZIECI POLSKIE.

Chodzi Pan Piłsudski
 w strzeleckim mundurze,
 u boku ma szablę
 na srebrzonym sznurze.
 Gdy wyjmie Komendant
 szablę do połowy,
 chowają Moskale
 za okopy głowy.
 A gdy Pan Piłsudski
 zadzwoni w ostrogi,

to wszyscy Prusacy
 biorą za pas nogi.
 Otworzył Komendant
 Polsce wrota chwały,
 szedł za Komendantem
 strzelców legion cały.
 Legion strzelców za nim
 szabelkami świeci,
 śpiewa o nim pieśni
 legion polskich dzieci.

W. MALICKA.

CZEŚĆ CI, KOMENDANCIE!

A jak ja urosnę
 i już będę duży,
 wtedy tak, jak tatuś,
 będę w wojsku służył.
 Będę w wojsku służył,
 będę maszerował,
 będę sobie śpiewał
 piosenki wojskowe.

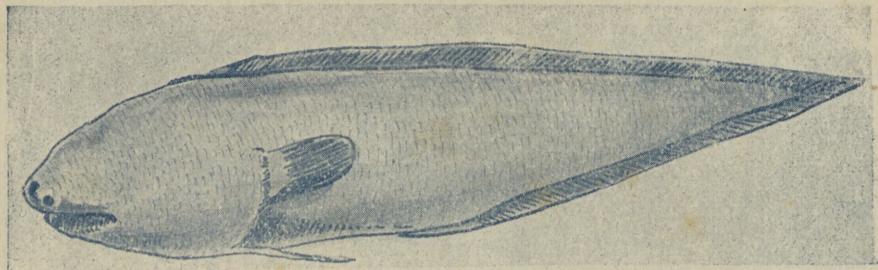
Będę żołnierzkiem,
 co na warcie stoi,
 a choć noc i ciemno,
 on się nic nie boi.
 Idzie Pan Marszałek...
 — Hej, na baczność stańcie!
 — Witam was, żołnierze!
 — Cześć Ci, Komendancie!

J. MAJEWSKA.



Mal. J. Wałach z Istebnej.

...życzymy Ci wszystkie zdrowia,
nasz kochany Dziadku!



Slepa ryba, złowiona w głębokości 4.400 m. w Oceanie Spokojnym.

RYBY GŁĘBINOWE.

Obszar wody morskiej, zajmujący 4/5 całej kuli ziemskiej, zawiera w sobie niezmierzone źródła życia. Za największe bogactwo oceanów uważana jest jednak niezliczona ilość gatunków ryb, zamieszkujących ich głębie. Jedne gatunki trzymają się bliżej powierzchni morza, szukając cieplejszych wód i miejsc, gdzie jeszcze promienie słoneczne docierają, inne całe życie spędzają wśród nieprzeniknionych ciemności, zimnych jak lód głębin morskich. Zależnie też od warunków, w których dany gatunek żyje i szuka sobie pożywienia, zmienia się jego wielkość, ubarwienie i narządy konieczne do zdobywania pokarmu lub obrony przed nieprzyjaciółmi.

Długo mniemano, że poniżej 200 m. ustaje wszelkie życie, do tej głębokości bowiem tylko dociera światło słoneczne i rośliny, uzależnione w zupełności od tego światła, mogą się rozwijać; poniżej tafli wody nie przepuszcza już światła i świat roślinny przestaje istnieć. Nie dotyczy to jednakże świata zwierzęcego i, dzięki najnowszym środkom technicznym, zdołano stwierdzić, że nawet w głębokości kilku tysięcy metrów żyją rozmaite niezmiernie ciekawe ryby o przedziwnej budowie. Jedne z nich nie posiadają zupełnie oczu, tylko po ciele rozsiane punkty świecące, inne znów mają nieproporcjonalnie duże oczy, a pod nimi podłużne latarnie, rzucające światło przed rybę, jeszcze inne błyszczą po obu bokach całemi rzędami takich latarek, wydających równocześnie światła zielone, niebieskie i czerwone. W nieprzeniknionym mroku głębin wciąż biegną i krzyżują się jakieś sygnały, zapalają się i gasną tajemnicze kolorowe latarnie: to mieszkańcy tych głębin rzucają znaki rozpoznawcze, torują sobie drogę lub też zwabiają pożywienie samorodnymi, elektrycznymi światłami.

Między innymi żyją tam także ryby - głowacze, posiadające jakgdyby tylko samą głowę o potwornym pysku. I one mają lampkę elektryczną, umieszczoną na głowie, którą umieją się doskonale posługiwać przy polowaniu na zdobycz. Już sam wygląd tej ryby świadczy, że

CHCĘ ZWIEDZIĆ POLSKĘ.

O jakżeż piękną ta Polska być musi!
Zwiedzić Ją całą strasznie mnie wciąż kusi.
Bo przyznać muszę do tego się śmieje,
że z książki znam ją nie tak bardzo wiele.

Dzisiajbym biegał tam, gdzieś koło Helu,
albo też w Gdyni, którą Niemców wielu
chciałoby chytrze wraz z całym Pomorzem
zabrać dla siebie, nas rozłączyć z morzem.

Jutro zaś turnie Tatrbyłbym deptał nogą,
twierdząc południa, sercu memu drogą.
Z niejby w dal patrzył na polskie ziemice
hen, aż po Kraków, tam, gdzie Sukiennice.

Za chwilę sam już też byłbym w Krakowie,
gdzie na Wawelu śpią polscy królowie,
gdzie Marjackie dwie wieże się wznoszą,
liczne pamiątki zaś w przeszłość unoszą.

Wielickę z solą zwiedziłbym po drodze,
potem do Lwowa skok na jednej nodze!
To też historii polskiej żywa karta,
bastjon wschodu i polskość uparta.

Zwiedziłbym nasze Karpaty kochane,
w których bogactwa wielkie, nieprzebrane.
Wśród zboża łąnów podolskichbym chodził
i po poleskich trzęsawiskach brodził.

A w Ostrej Bramie modliłbym się szczerze,
by Polak wytrwał w ojców swoich wierze,
by bronił wiernie granic polskiej ziemi
przed zakusami wrogów rozlicznymi.

Również złożyłbym hołd polskiej stolicy,
potem leciałbym do Śląskiej dzielnicy,
gdzie las kominów wystrzela do góry,
a słońce skrywa się za dymu chmury.

Jeszcze Poznańskie poznałbym w dodatku,
gdzie lud pilnością dobił się dostatku.
Wreszciebym wrócił w domowe pielesze
ku mych rodziców niemałej uciecze.

Artur Lorek.



DAWNIEJ I DZIŚ

S. Marszak, tłum. St. Themerson.

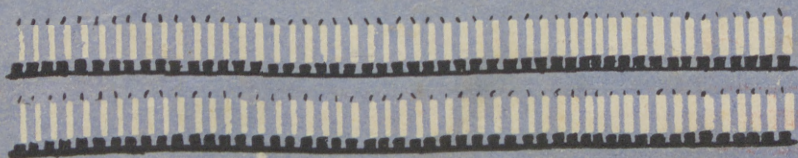


W rupieciarni, na strychu
lampa lka pocichu:

— Głodno
i chłodno,
wysycha mój knot,
na szkiełku kurz.
Czemu,
ach czemu,
mimo mych cnót,
niepotrzebna już
jestem nikomu?

A pamiętam, rozświeatlały
moje światła zmierzchu cienie,
do pokoju cmy wfruwały
i krążyły u płomienia.
Spoglądałam wzrokiem sennym
przez matowy mdły abażur,
gdy dzwoniący zegar ścienny
do snu wzywał gospodarzy.

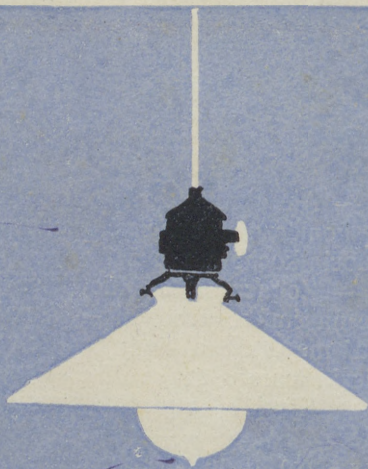
Poznałam dzisiaj w stołowym
jakąś dziwną lampę nową...
Gospodarz pono miał rzec,
że w niej pali się sto świec!



Co za lampa! Śmiać się proszę!
Z szkła wydęta, tkwi pod kloszem
przezroczysta bańka z noskiem,
a w niej trzy czy cztery włoski.

Tak powiadam do pannicy:

— Przyjechałaś z zagranicy,
lecz ciekawa jestem przecież,
w jaki sposób będziesz świecić,
bańko szklana nowej mody,
jak zapali cię gospodarz?



A ta mówi w odpowiedzi:

— Niechaj stara cicho siedzi!

To bezczelna! Weź ją licho!
Czemu to ja mam być cicho?
Ja w tym domu lat dziesiątek
rozświetlałam każdy kątek,
ani razu nie kopcilałam,
czemu ja mam cicho siedzieć?!
A przytem musicie wiedzieć,
jak ja skromnie się paliłam!
Od płomyka zapalniczki
zapalałam się, jak świeczki,
tak jak kuchnia, tak jak piec.
A jak w tobie ogień wzniecę,
nowa światła rodzicielko?
Tyś nie lampa, a butelka!



Dokończenie nastąpi.

28)

BURSZTYNOWY TALIZMAN.

Opowiadanie z czasów dzisiejszych.

Napisała E. Szelburg-Zarembina

— Ale okręt ryżowy z tymi Indusami w białych turbanach to już muszę koniecznie zobaczyć, panie poruczniku! — molestował Piotruś — jak babcię kocham, muszę!

— Zobaczysz, ale nie dziś. Nie po to cię tu przywiozłem, żebyś mi się na śmierć uchodził — śmiał się porucznik. — Zresztą i ja sam nóg już nie czuję, a głodnym jak wilk i pić mi się chce. Tobie też pewnie kiszki marsza grają. Co? Przyznaj-no się.

— Kiszki? aż piszcza, panie poruczniku! Tylko ja im każę cicho siedzieć.

— No, to je zaraz uciszymy. Musi tu być gdzieś blisko gospoda. Aha! Jest „Pod Kotwicą”. Porządnie jeść tu dają.

Właściciela znam, Niemiec, ale optował *) za Polską.

— „Pod Kotwicą”? To w tej gospodzie pracuje mój Karl — wykrzyknął uradowany Piotruś.

— Jaki znowu twój Karl?

— A ten kandydat na członka naszego Klubu Bursztynowych Serduszek. — Tu na sekundę jakby zawahał się Piotruś. — On także jest Niemiec, ten Karl. Ale bardzo piękny kanał nam zbudował, jak robiliśmy fortece z piasku... i tym kanałem woda odeszła do morza i nie podmyła fortecy i forteca została.

— A więc to on, ten „porządny człowiek i nie fujara”? — spytał pan porucznik.

— Właśnie.

I weszli do gospody „Pod Kotwicą”.

Z jasnych okien niewielkiej, ale schludnej sali widać było fragment mola, skrawek niebieszcącego się i srebrzącego w chłodnawem słońcu morza i połyskliwe dzioby okrętów, stojących na kotwicy.

Nad czysto nakrytymi stolikami unosiły się przezroczyście, sinawe smugi tytoniowego dymu. Pachniało świeżo parzoną gorącą kawą, zimnem piwem, smażonemi rybami i wieprzowiną.

Przy stolikach nad szklankami i talerzami siedzieli goście dość nieliczni o tej poobiadowej, a jeszcze przedwieczorzowej porze. Byli wśród nich marynarze starsi i młodszy rangą, byli kupcy i przemysłowcy, byli turyści i ajenci handlowi.

Padaly gęsto słowa polskie i cudzoziemskie naprzemian.

Piotruś ciekawie nadstawił uszu: głosy rozprawiających mężczyzn brzmiały silnie, dobitnie... Tu i ówdzie wybuchał krótki śmiech.

Z za kontuaru, pełnego różnokolorowych zakąsek, uśmiechała się życzliwie tęga starsza kobieta, w białym fartuchu. Wydawała ona polecenia usługującym dziewczętom w białych czepeczkach, przyjmowała zapłatę od gości i jednocześnie robiła pończochę na drutach.

*) Przyjął obywatelstwo.



Podali sobie ręce...

Gdy pan porucznik wybrał stolik pod oknem i usadowił się przy nim razem z Piotrusiem, jejmość z za kontuaru rzuciła bystro okiem w tę stronę, a potem zawołała w drzwi uchylone, widocznie do kuchni, bo buchał z za nich brzęk naczyń i buzowanie ognia.

— Karl! Komm hier! Chocz tutaj!

I oto zjawił się Karl.

Piotruś poznał go natychmiast: ten sam chudy chłopak o jasnoniebieskich oczach i wesołym uśmiechu na długiej, wąskiej i mocno opalonej twarzy. Ten sam, co tak dzielnie rozkopywał piasek kawałkiem deski, zamiast łopaty! Ten sam, co tak szybko wygarniał wodę z wnętrza fortecy rękami zamiast szuflą, której dla niego przy zabawie zbrakło.

Teraz, zamiast kusych kąpielowych majtek, ma on na sobie mary-

narkowy garnitur z długimi spodniami i biały fartuch, a na rękę czystą ścierkę.

— Ty, Karl, musisz okno przymknąć, bo tamtym gościom fest wieje od morza — mówi właścicielka gospody, pokazując chłopcu stolik przy otwartym oknie, gdzie usiedli porucznik z Piotrusiem.

Karl szybko podchodzi, kłania się przy tem zabawnie, machając swoją ścierką i zrećnie przymyka okno, przyczem obaj chłopcy, i Piotruś i Karl, robią do siebie porozumiewawcze „oko”. Piotrusiowi jednak jakoś niezręcznie zacząć rozmowę z Karlem przy panu poruczniku. Nim się namyślił, jak to zrobić, Karl znikł już, a na jego miejscu stoi rezolutna panna w białym czepeczku i pyta, co podać do zjedzenia.

Pan porucznik z Piotrusiem nie namyślali się długo. Wybrali śledzie z oliwą na przekąskę, zupę z ryb z grzankami, smażone flądery z cytryną, węgorza duszonego w śmietanie z ziemniakami, z pietruszką i kompot z mieszanych owoców na deser.

— Uf, najadłem się — odsapnął Piotruś, łyknąwszy ostatnią łyżeczkę kompotowego soku, różowiejącego na dnie szklanego talerzyka — a brzuch, to mi proszę pana porucznika, spuchł, jak bęben. O! — i klepnął się Piotruś po zaokrąglonym istotnie brzuszku.

Pan porucznik się roześmiał:

— Miałem cię wziąć ze sobą na okręt, ale skoro się tak objadłeś, to gotów mi okręt pod takim ciężarem pójść na dno, więc cię nie wezmę — zażartował.

Skonfundował się Piotruś i wypuczony przed chwilą brzusek wciąga jak może.

A pan porucznik powiada, ale teraz już serjo:

— Muszę załatwić teraz w porcie jedną sprawę urzędową. Może więc zaczekasz tutaj na mnie. Albo jeszcze lepiej: niech cię ten Karl po porcie oprowadzi. Przecieżes nawet wybierał się po to, aby z nim o czemś tam waszem radzić, to spacerujcie sobie i gadajcie, a spotkamy się tutaj o ósmej i zaraz cię odstawię zpowrotem do Suliców.

Piotruś i Karl z radością przystali na projekt pana porucznika. Właścicielka gospody, owa jejmość z pończochą na drutach, siedząca za kontuarem, pani Gertruda Millerowa, zważywszy, że o tej porze mniej bywa gości na sali, zwolniła Karla do wieczery.

Karl szybko zdjął fartuch, włożył granatowy kaszkiet, podobny bardzo do granatowej czapki Piotrusia i wyszli z gospody na ulicę.

Niemczyk Karl mówił po polsku tak samo, jak kaszubskie dzieci.

— Ja już tu w Gdyni do powszechnej szkoły chodziłem — powiedział Piotrusiowi. — A jak ty masz mnie coś ale ważnego do powiedzenia, to my chodźmy się do molo. Ja tam znam jedno miejsce, w sam raz dobre do siedzenia jest ono.

Na kamiennych schodkach, schodzących prosto w spokojną, zieloną wodę, siedziało się bardzo wygodnie.

Nikt się w pobliżu nie kręcił, nie przeszkadzał. Mogli rozmawiać swobodnie.

Ta ich rozmowa, jak wszystkie takie ważne rozmowy, związała była i nie trwała długo. Piotruś kończył szybko, rzeczowo:

— Więc kiedy już ci powiedziałem, to czy ty chcesz?

— Jo, jo. Dlaczego bym zaś nie miał chcieć! Chcę.

— I przyrzekasz?

— I przyrzec — przyrzekam, a jakże.

— Że zawsze i wszędzie?

— Zawsze i wszędzie.

— No to, kolego, daj rękę.

— Masz, kolego.

Podali sobie ręce na tych kamiennych schodkach gdyńskiego mola, nad tą spokojną, zieloną wodą bałtycką.

Szczeremu, mocnemu uściskowi ręki Piotrusia oddał szczery i mocny uścisk Karl Miller, tak samo, jak przed tygodniem zrobił to Jank i Jouzek Sulicowie, jak jeszcze wcześniej śliczna Jadwisia Radoszówna.

Tak oto stało się, że Karl Miller chciał należeć do coraz liczniejszego już Klubu Bursztynowych Serduszek. Że przyrzekł spełniać gorliwie i wesoło żądania czynnego członka — zawsze i wszędzie czynić tak, żeby samemu czuć radość i drugim sprawiać też jak najwięcej radości.

— I serduszko bursztynowe zamówię sobie u wujka Jadwisi, Radosza, jak tylko dostanę zapłatę w gospodzie, co będzie akurat pierwszego, to będzie pojutrze — postanawiał uradowany Karl. Załatwiwszy tak najważniejszą sprawę, chodzili tak sobie teraz chłopcy niefrasobliwie i przyglądali się ciekawie przeróżnym okrętom.

Przewodnikiem, dającym objaśnienia, był naturalnie Karl.

— Patrz, Peter, ten parowiec to je doch ale angielski. Po węgiel tu przyjechali, a tamten to musi być sowiecki, bo na nim sierp z kosą i młot wymalowany. Skóry z niego wyładowują, a będą załadowywać stąd maszyny. O! widzisz, już towar czeka.

— Ojej, a to jakie wielkie okręcisko! I chorągiew z gwiazdami na nim.

— Jo, jo! Amerykańska bandera gwiazdzista. Transatlantycki okręt amerykański.

— A ten śliczny i też wielki okręt z biało-czerwoną obrączką i literą „L” na kominie? Czyj?

— Żeglugi polskiej. Także transatlantyk.

Dalszy ciąg nastąpi.



Jak dwaj chłopcy przesyłali sobie drogą
powietrzna jaja na śniadanie
i co z tego wynikło



w normalnym kraju, gdzie deszcz pada aż do znudzenia. Tutaj istnieją i bardzo dobrze się czują zwierzęta, które mają bądź worek zapasów, jak to ma miejsce u wielbłąda, lub u antylopy „kadax”, bądź mają nadzwyczaj dobre nogi, jak te zajączki, strusie lub gazy, bądź też chowają się pod ziemię, jak to czynią węże i jaszczurki i cierpliwie wyczekują spadnięcia deszczu. Gdy deszcz upadnie, wówczas oblicze tej jałowej pustyni się zmienia. Wyrasta momentalnie bujna i wysoka trawa, Beduini przypędzają wówczas tutaj swe stada na paszę i każdy boży stwór ma przez pewien czas dużo pokarmu. Nawet „saba”, król pustyni, lew (właściwszem jego określeniem byłoby: król stepu) przybywa tu ze swych stepowych dziedzin na polowanie.

Karawana odbywała swą podróż bez żadnych przeszkód. Długość marszu regulował mądrze Jussup, mając na uwadze, by nie zmęczyć nieprzywykłych Europejczyków.

Na noc rozbijano namioty przy oznaczonej zgóry przez Jussupa studni, rozpalano ogniska, przy których dwaj kucharze warzyli stawę i rozstawiano warty naokoło obozu. Zawartość owych skrzyń, zabranych w Lizbonie, ogromnie się przyczyniła do podtrzymania nastroju wędrowców, gdyż składała się ona z ręcznych mitraljez, niezmiernie lekkich, lecz bardzo się nadających do odparcia wszelkiego napadu. Na te warty chodził i Telesforek w towarzystwie Jussupa i, siadając przy nim, wpatrzony w świetne, gwiazdziste niebo, słuchał niekończących się nigdy opowieści pustynnego wilka o fantastycznych przygodach w pustyni.

Pustynia miała swe niespodzianki. Razu pewnego na takiej warcie chłopcu włosy się zjeżyły z przestachu na głowie. Skoczył pędem do Jussupa, który oddalił się o kilka kroków, gdyż wydało mu się, że widzi czołgającą się jakąś postać. Chłopiec tchórzem nie był i widok podkradającej się pod obóz postaci nie wyprowadziły go tak z równowagi, gdyby nie to, że napastnik roześmiał się tżikiem, przejmującym śmiechem.

— To hijena — objaśnił krótko Jussup i Telesforkowi wróciła odrazu fantazja i postanowił zapolować po harcersku na zwierza, co się śmieje ludzkim głosem.

Podkraść się z zachowaniem wszelkich ostrożności do hijeny, która zjadała spokojnie jakieś odpadki, wyrzucone przez kucharzy. Śmiała się też głośno, bo jej widocznie obiadek smakował. Wtem okropnie błysnęło i hijena śmiertelnie wystraszona drapnęła, gdzie pieprz rośnie. Ale zostało na pamiątkę po niej zdjęcie fotograficzne.

Podróż po ergach, ergami nazywają Arabowie owe piaszczyste wzgórza, skończyła się wreszcie i karawana znalazła się na płaskowzgórzu, poprzedzającym oazę In Salah. Płaskowzgórze było porośnięte skąpo tamaryszkiem i chwastami, w których przeważał silnie aromatyczny piołun. Mimo ostrożnego i umiarkowanego marszu, padł im najsłabszy wielbłąd.

Po tym jedynym wypadku w podróży karawana dotarła bez przeszkód do oazy In-Salah.

Dalszy ciąg nastąpi.



Fot. J. Bułhak.

DOMY NAD MOTŁAWĄ.

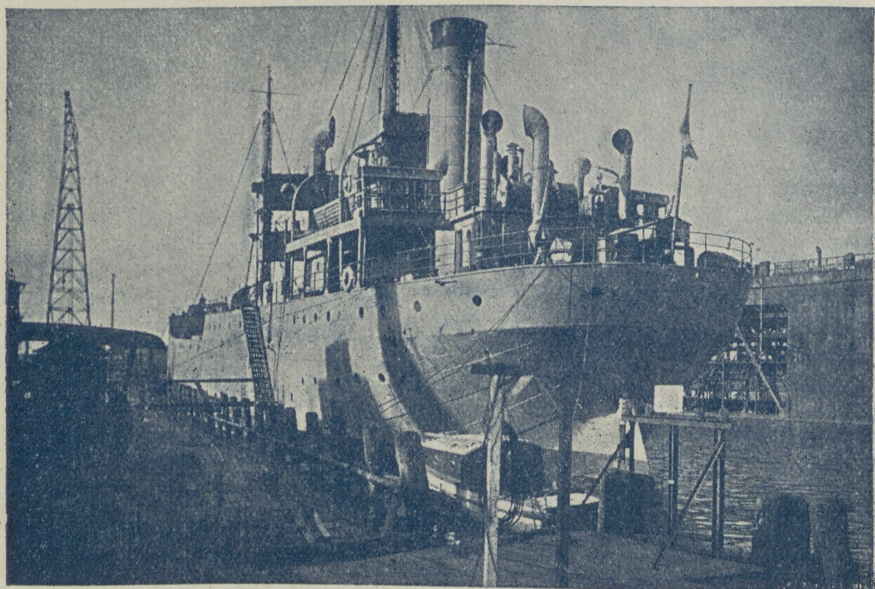
G D A Ń S K.

Gdańsk zachował dotychczas swe charakterystyczne oblicze starego handlowego miasta, w którym zamożne mieszczaństwo dźwijało pierwszeństwo i sprawowało władzę. Na każdym kroku przemawia tam do nas wymownie przeszłość. To nie tylko z licznych zabytków, jak gmachy publiczne, kościoły, czy pomniki, ale z dawnych domów kupców i rzemieślników gdańskich, które przetrwały niezmiennie, opierając się zwycięsko biegowi lat i przeżywanym przez miasto wydarzeniom dziejowym.

Wąskie kilkupiętrowe kamieniczki o śpiczastych dachach ciągną się szeregiem nad wodą, brzegiem Motławy, lub wzdłuż ciasnych uliczek i zaułków, które wyglądają tak samo, jak za owych czasów, kiedy skupiały się tam cechy rzemieślnicze, a rodziny kupieckie rosły w dostatek i znaczenie. Domy stoją ciasno stłoczone, wystrzelając w górę, gdyż potężne mury, otaczające dawniej każdy gród, ograniczając jego przestrzeń, nie pozwalały na swobodne rozrastanie się wszędy. Szerokie, sklepione bramy łączą poszczególne zakątki starych dzielnic, a przez rzekę i kanały przerzucone są kamienne mostki.

W Gdańsku skupiał się dawniej cały handel zamorski Rzeczypospolitej. Sprzyjało temu doskonałe położenie miasta, tuż przy ujściu Wisły, będącej naszą główną drogą wodną. Pływały stąd pod barwami Polski i Gdańska liczne okręty, zwłaszcza ze zbożem, do obcych krajów, przywożąc wzamian bogate ładunki towarów zagranicznych. I sam Gdańsk dostarczał Polsce wielu bardzo cenionych wyrobów. Obdarzony zaś przez królów polskich licznymi przywilejami, doszedł do ogromnego rozkwitu i zamożności.

Dziś jest Gdańsk znów Wolnym Miastem, jakim był przed przeszło wiekową niewolą pruską. Znaczy to, że stanowi on jakby małe niezależne państewko. Pol-



Fot. J. Bułhak.

STATEK ODPOCZYWAJĄCY W GDAŃSKU.

ska natomiast sprawuje kierownictwo nad drogami wodnymi i kolejowymi. Ma też prawo zupełnie swobodnego korzystania zarówno z portu, jak i jego urządzeń.

W Gdańsku odpoczywają po trudach dalekich podróży okręty, a w miarę, jak rośnie nasza flota handlowa, flaga o barwach narodowych powiewa coraz częściej nad statkami, zawijającymi do portu, lub odpływającymi stamtąd w świat.

W. Wielńska.

PRIMA APRILIS W KOCIEJ WÓLCE.

Żartobliwy obrazek sceniczny bez kostjumów i dekoracyj.

Napisata E. Sz. Zarembina.

OSOBY: Pani Nauczycielka. Dzieci szkolne.

(A także pies i kot, jeśli się takowe znajdą pod ręką).

Scena przedstawia salę szkolną w czasie słuchania szkolnego poranku radiowego. Na stoliku stoi głośnik. Właśnie gdy kurtyna się podnosi, słychać koniec jakiegoś przemówienia i słowa zapowiadacza: — ...obecnie pięć minut przerwy.

Chwila ciszy. Po chwili słychać głos, obwieszczający z głośnika.

GŁOS mówi:

Hallo! Hallo! Polskie Radio Warszawa. Za minutę usłyszymy dalszy ciąg po-

ranku szkolnego. Mam zaszczyt obwieścić szanownym radiosłuchaczom następne punkty programu:

Dęta i rżnięta orkiestra pod batutą radjowego pana dyrygenta Kociokwika odegra marsza Kociej Wólki. Poczem sławny śpiewak radjowy pan Mruczysław Kociński z panem Brysiem Pieskiewiczem odśpiewają duet pod tytułem „Hau — miau”.

Wśród dzieci szkolnych poruszenie.

DZIECI *między sobą:*

Co to? Co się dzieje w naszym szkolnym radjo?

Jaki dziwny, piskliwy głos ma pani zapowiadaczka? Nowa jakaś, czy co?

I taki jakiś dziwny program zapowiada.

Orkiestra rznęta - dęta pana Kociokwika... Duet Hau-miau...

Gdzie nasza pani nauczycielka?

WSZYSTKIE DZIECI *(razem)*.

Proszę pani! Proszę pani!

PANI NAUCZYCIELKA *(wchodzi i siada pomiędzy dziećmi przed głośnikiem)*.

A co to, dzieci? Przerwa w programie?

Nie byłam na początku, bo musiałam załatwić coś tam w kancelarji i spóźniłam się. Cóż tam zapowiedzieli?

DZIECI *(jedno przez drugie)*.

A psze pani właśnie coś okropnie dziwnego zapowiedzieli...

...I takim jakimś glosem niezwyyczajnym...

...Orkiestra, że niby ma być dętarznęta.... I...

PANI NAUCZYCIELKA.

No, dobrze, dobrze. Zaraz usłyszymy, bo już coś brzęczy...

DZIECI.

Zaczyna się... zaczyna... Cii...

(Rzeczywiście rozpoczyna się... istna kocia muzyka do zwykłej orkiesty nie podobna, choć wesola i żywa).

DZIECI *(patrzą po sobie zdumione i rozbawione)*.

Ojej! Co to za granie takie!

(Śmieje się). A to ci orkiestra! A to ci bębniecie, że i na rondlu nie gorzej pokrywa brzęczy!

Laboga!

PANI NAUCZYCIELKA.

Rzeczywiście, dziwna orkiestra tego jakiegos pana Ko.kociokwika. Przypomina nietyle orkiestrę radjową, co moje własne rondle i garnki z kuchni i wasz szkolny pogrzebacz... Ale czekajmy cierpliwie, może się czegoś doczekamy ciekawszego. Zaraz będzie następny numer programu. Jak zapowiedzieli?

DZIECI.

Duet Hau-Miau!

PANI NAUCZYCIELKA.

Hm... Ale czy!

GŁOS ZAPOWIADACZA.

Następny numer programu. Duet Hau - Miau.

DZIECI.

C i i i...

(Słychać donośne szczekanie psa i przeraźliwe miauczenie kota).

DZIECI *(wybuchają śmiechem)*.

Psze pani! psze pani! To nie żaden duet! To prawdziwy pies szczeka! To żywy kot miauczy!

PANI NAUCZYCIELKA.

I mnie się tak zdaje, że to nie śpiewacy, tylko pies z kotem, ale skądby się wzięły w radjo w Warszawie?

DZIECI *(jedno przez drugie)*:

Proszę pani, to wcale nie z Warszawy!

Ja poznaję po głosie... tee, chciałem powiedzieć: po szczeku, że to Kruczek Wojtka Ćwieka, tego z Mysiej Wólki.

...A ja też poznaję po głosie... tee, chciałem powiedzieć po miauczeniu, że to kot Mruczek Staszka Pędraszka, tego urwisa także z Mysiej Wólki...

...Już wiem! Psze pani, te chłopaki z Mysiej Wólki to zawsze naszej Kocięj Wólce muszą jakiegos psikusia urządzić...

Dokończenie nastąpi.

PODRÓŻ OKRĘTEM.

ZABAWA.

Ile razy dzieci zbierają się u Kacperka, bawią się w „podróż okrętem”. Wczoraj, też się w to bawiły. Dzieci było dziesięcioro, więc Kacperek ustawił dziewięć krzesel w półkole, (bo zawsze musi być o jedno krzesło mniej, niż dzieci) i wszyscy prócz niego pozajmowali miejsca.

Potem Kacperek stanął nawprost dzieci i powiedział:

— Jadę okrętem, wiozę ryż.

Teraz wszystkie dzieci zmieniały miejsca, a Kacperek też zajął jedno krzesło. Bez miejsca została Jadzia i ona, stanawszy nawprost dzieci, musiała powiedzieć, co wie o ryżu:

— Najwięcej ryżu uprawiają w Chinach, Japonji i Egipcie, bo tam ziemia jest bardzo urodzajna i mokra, nawet w niektórych miejscach ryż rośnie pod wodą.

Potem Jadzia dodała:

— Jadę okrętem, wiozę bursztyn.

Znowu ze śmiechem i wrzawą dzieci zmieniały swoje miejsca, ale Jadzi nie udało się zająć krzesła, więc musiała sama powiedzieć, co wie o bursztynie.

— Bursztyn to jest żywica z tych drzew, które woda zalala, żywica zakrzepła kilka tysięcy lat temu. Byłam nad morzem i stary Kaszub opowiadał mi, że podczas burzy morze wraz z pianą wyrzuca bursztyn. Potem bursztyn obrabiają i robią z niego paciorki, broszki i inne ozdoby.

— Jaka ta Jadzia mądra! — wykrzyknął z zachwytem Felek. A Jadzia, śmiejąc się z Felka, rzekła:

— Jadę okrętem, wiozę węgiel.

Oho, teraz Jadzia zajęła siedzące miejsce, jeszcze przed innymi dziećmi, a bez krzesła została Krysia.

— Węgiel w Polsce wydobywają na Śląsku — powiedziała. — Pokłady węgla znajdują się pod ziemią, więc górnicy pracują w kopalniach. Przez to są narażeni na niebezpieczeństwo, bo pokłady węgla wietrzeją i wtedy obsuwają się, a również węgiel wydziela z siebie trujący gaz.

Po chwili namysłu Krysia dodała:

— Jadę okrętem, wiozę tran.

Wszyscy zmienili krzesła, a bez miejsca został Feluś.

— Tran jest to tłuszcz wieloryba; — powiedział, — a wujaszek mój, który jest doktorem, mówił mi, że najzdrowszy tran jest wydobywany z wątroby dorsza. Dorsze łapią sieciami rybackimi, a wieloryby chwytają na harpun; to jest jakby strzała żelazna, na długim łańcuchu. Jak złowiony wieloryb umieszczony jest na okręcie, przecinają go i wydobywają z niego tłuszcz, który potem w specjalnych zakładach chemicznie czyszczą. Mówił mi wujek, że tran jest bardzo zdrowy i pożywny nie tylko dla dzieci, ale i dla dorosłych.

Długo jeszcze bawiły się dzieci w „podróż okrętem”, przewożąc żelazo, sól, kawę i wiele innych pożytecznych rzeczy.

Romana Turońska.



Polski inżynier, p. Kołodziejski, zbudował łódź motorową, której można używać też jako sani. Wypróbował ją na Wiśle pod Warszawą.

Dział rozrywek.

II TURNIEJ ROZRYWKOWY.

NR. 24. FIGLE.

Ułożył J. M.

(za rozwiązanie 2 punkty).

Jakie są jadane rogi?

Jakie pośród ryb są nogi?

NR. 25. ZAGADKA.

Ułożyła Z. S.

(za rozwiązanie 2 punkty).

W samogłosce spółgłoska się mieści,
tworząc roślinę pastewną;
kto był na wsi, ten na pewno
zagadki tej domyśli się treści.

NR. 26. SZARADA.

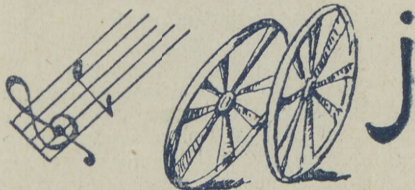
Ułożył W. R.

(za rozwiązanie 3 punkty).

Pierwsze — nakazuje nam milczenie.
Pierwsza - druga — barwy określenie.
Druga-trzecia — gdy dobra, posłuchać
należy.
Cała w rozrywkach starszych, dzieci
i młodzieży.

NR. 27. REBUS.

(za rozwiązanie 3 punkty).



NR. 28. ZAGADKA.

Ułożyła Z. S.

(za rozwiązanie 3 punkty).

Kiedy *n* mam na końcu, jestem rzeką...
i to niezbyt daleką.
Gdy *d* — posiadam drzewa owocowe.
Gdy *s* — mieszkam nad Elbą...
Już gotowe?

Zadania powyższe są ostatnie, jakie podajemy w II-im Turnieju Rozrywkowym. Pamiętajcie, że zwycięzcami Turnieju mogą zostać ci, którzy:

1. rozwiążą bez błędu wszystkie zadania;

2. rozwiązania napiszą na jednej kartce i nadeślą do redakcji do dnia 15 kwietnia;

3. napiszą rozwiązania czysto i starannie.

Za staranne i czysto napisane rozwiązania redakcja będzie doliczała od 5 do 10 punktów.

Kto otrzyma największą liczbę punktów — zostaje Zwycięzcą Turnieju i otrzyma na pamiątkę książkę.

HALLO! TU RADJO DO WAS MÓWI!

Który z was, kochani chłopcy, pochłonawszy dzieje „Ducha Puszczy”, lub „Ostatniego Mohikana”, nie zapragnął pójść w ślady dzielnych wodzów Indian? Jedną z takich „zabaw w Indian” opisał p. Kornel Makuszyński w swojej pięknej książce p. t. „Bezgrzeszne lata”. Dzisiaj (15.III. g. 15.35) nadany będzie fragment wspomnianej powieści p. t. „Wodzowie”. Audycję uzupełnią wesołe „zagadki i szarady”.

Sobotnie (18.III g. 15.35) słuchowisko p. t. „Spotkanie” pióra K. Konarskiego przeznaczone jest dla starszych dzieci i młodzieży. Treść osnuta dookoła wypadków 1863 roku.

Niedziela, 19 marca, to dzień uroczysty dla całej Polski! Dnia tego obchodzimy imieniny Marszałka Józefa Piłsudskiego. Zbierzcie się wszystkie, dzieci mile — w swych odświętnie przystrojonych salach szkolnych, aby złożyć hołd Temu, który wywalczył wolność naszej Ojczyźnie. W Radjo też (o g. 16-ej) zbierze się gromadka szkolnej dziatwy Warszawy, aby w prostych, serdecznych słowach złożyć *życzenia dostojnemu Solenizantowi*. Uroczystą audycję niedzielną rozpocznie znakomity pisarz, *Wacław Sieroszewski*, który opowie dzieciom dużo niezmiernie interesujących szczegółów o *życiu szkolnem Józefa Piłsudskiego*.

Czwartkowy koncert (g. 12.35) i sobotnia audycja szkolna (13.15) uzupełnią program tygodnia radiowego.

OFIARY.

DLA DZIECI POLSKICH W GDAŃSKU.

IV klasa szkoły ćwiczeń państw. semin. naucz. żeńskiego im. Stefana Żeromskiego w Zgierzu — 10 zł.; oddz. II i IV szkoły powsz. w Kornicy — 1 zł. 50 gr.; klasy IV i V szkoły powsz. w Woli Koszutskiej — 5 zł.; Hania i Jędrus Wernerowie, Marysia i Jaś Kacprzykowie, Ala Szczeszówna, Marysia Woźniakówna, Kryśka Fenigsonówna, Marysia Jankowska i Kryśka Lewandowska zebrane z przedstawienia — 13 zł.; Szkodziński Staś — 2 zł.; klasy III i IV szkoły powsz. w Obierwi — 2 zł. 50 gr.; samorząd V od. szkoły powsz. w Sońsku — 1 zł. 15 gr.; Zbyszek i Hania Stryckowie z Siedlec — 1 zł. 50 gr.; Krajewska T. z Hryniewiec — 1 zł.; kółko literackie szkoły powsz. im. M. Konopnickiej w Zduńskiej Woli — 3 zł.; dzieci ze szkoły powsz. w Sierakowicach Lewych — 90 gr.; Jasio Kołodziejczyk z Miechowa — 1 zł.; Jurek Appanowicz — 2 zł.; kl. V szkoły powsz. w Haluszczyńcach — 1 zł. 50 gr.

Halinka Datkówna z Wilna, prywatna szkoła Jordanowska we Lwowie, kl. IV b szkoły powsz. w Brzeszczach, Irena Lichaczewska z Białej Podlaskiej, Danusia Organkiewiczówna z Solca nad Wisłą, Helunia i Ewunia Tyczyńskie z Sędziszowa Kieleckiego, Jurek i Jontek Kucowscy ze Szpanowa, Grochowski z Brześcia, Lala Gerunżanka, Włoduń Gerung i Dzidzius Gerung, dzieci z leśniczówki Dziurków, Stawek Średnicki z Główna koło Łowicza, szkoła powsz. w Morzysławiu, dzieci od. III b szkoły powsz. w Pajęcznie, Staś i Bolek Natallio wie ze Szczebrzeszyna, Stomińska Jasia z Warszawy, Korlak Zbigniew z Warszawy, kl. III b szkoły Nr. 8 w Warszawie, Głuchowski Krzyś z Warszawy, Appanowicz Jurek z Dobrego koło Nieszawy, samorząd od. V szkoły powsz. w Sońsku, Pragłowska Jadwiga z Leszczanki, Danielkiewicz Bohdan z Warszawy, od. V szkoły powsz. w Łomiankach, Gołębski Juljusz z Gwoźdźca, Marysia i Kryśka Scholtzówny z Zagożdżona, Kowalski Jerzyk z Warszawy, Niepokojczycka Basia z Warszawy, Świerczewska Marysia z Warszawy, Szolcówna Marychna z Michalkowic Śląskich, Dąbrowski Waclaw z Warszawy, Grochowski Zbys z Warszawy, Kwiatkowski Stefuś z Warszawy, Pikulscy Marysia i Lesio z Budzyna, uczennice kl. V b szkoły powsz. żeńskiej w Lubaczowie, Elżanowska Wanda z Łowicza, Trylscy z Białokrynicy, od. III b w Opolu Lubelskim, Irka i Marysia Kowalskie z Warszawy, Królikowski Wojtuś z Warszawy, Koło Młodzieży P. C. K. w Piaseczynie, od. IV szkoły ćwiczeń w Warszawie, Januszek Gawor z Królewskiej Huty, IV drużyna harcerska im. Zofji Jankowskiej w Brześciu nad Bugiem, Julcio Eska z Warszawy, Czepietówna Marysia z Rutek-Kossaków — wszyscy wyżej wymienieni nadesłali książki, zabawki i ubranka.

WARUNKI PRENUMERATY NA ROK SZKOLNY 1932/33.

	Miesięcznie	Kwartalnie	Rocznie	Nr. poj.
„Płomyk”	1 zł. 50 gr.	4 zł. 50 gr.	14 zł.	40 gr.
„Płomyczek”	1 zł. 20 gr.	3 zł. 50 gr.	11 zł.	30 gr.
„Płomyk” z „Płomyczkiem”	2 zł. 30 gr.	6 zł. 50 gr.	21 zł.	60 gr.

Ceny podane są wraz z kosztami przesyłki.

Adres redakcji i administracji: Warszawa, Wybrzeże Kościuszkowskie Nr. 35
(wejście od ul. Dobrej Nr. 6).

Dla prenumeratorów warszawskich biuro administracji ul. Świętokrzyska Nr. 18.

Nr. telefonu administracji 322-18, redakcji 538-26. Konto czekowe P. K. O. 6880.

Redaktorka przyjmuje od g. 1 do 3, prócz wtorków i sobót.

Administracja przy ul. Świętokrzyskiej otwarta codziennie od godziny 9-ej rano do godziny 7-ej wiecz., na Wybrzeżu Kościuszkowskim od 9-ej rano do 2-ej pp.

Wydawca: w imieniu Związku Nauczycielstwa Polskiego — JÓZEF WŁODARSKI.
Redaktorka — HELENA RADWANOWA. Kierownik artystyczny — MICHAŁ BYLINA.

Zakłady Graficzne „NASZA DRUKARNIA”, Warszawa, Sienna 15.



Słoń z lekyką